

Nie masz cwaniaka nad rodaka

Chodząc do podstawówki, miałem codziennie pewną stalowo-drewnianą instalację. Komunistyczny slogan krzyczał z niej dwumetrowymi krowami: „POLAK LEPIEJ WIĘCEJ POTRAFI”. Dziś komuna co prawda przeterminowana, lecz bynajmniej nie powyższy slogan. Polak potrafi – oj, tak. A już szczególnie ten na emigracji.

pokolenia na pokolenie, mamy wbijane w głowę, że „co za darmo (lub połowę) to niezły biznes”. Wyspiarz natomiast odwrotnie: „co za darmo, to podejrzane”. Albo niedobre. Wszak wszystkim jest już znane brytyjskie mistrzostwo w wydawaniu największych pieniędzy na największe pierdoły. Co więcej, u naszych gospodarzy wszystko musi być zrobione przepisowo i do obrzydzenia oficjalnie. Dlatego czasem aż ręce opadają, gdy widzimy Brytyjczyka nie umiejącego się zakręcić w sytuacji, gdy aż się prosi o „lekkie zakombinowanie”. Niemniej kombinowaniu do kombinatorstwa daleko... Przyjechaliśmy na Wyspy tłumnie i każdy z nas szuka tu swojej szansy; jedni już ją znaleźli, drudzy nadal szukają. Jedni idą ścieżkami oficjalnymi (czytaj: prostymi) – inni bardziej krętymi. I to jest OK - każdy ma swoje sumienie i nie moja rola, by tych prostych, czy nawet tych „krętych” rodaków osądzać. Jednak metody, jakimi dochodzimy do swoich celów, nierzadko budzą kontrowersje: w jednych wywołują bowiem zachwyt, w innych zaś grozę. Oto swego czasu, rząd Jaśnie Królowej wymyślił sobie, iż wesprze swych obywateli i ich domostwa. Pomysł był szczytny: councili miały dołożyć niemałe kwoty do waty ociepleniowej, a obywatele mieli docieplić nią swoje posesje. Lecz nie bez kozery ułożyli slogan „Polak lepiej więcej potrafi”. W mig, co przebieglejszy rodak-byznesmen zwęszył niezłą kasę: zaprowadziło się profesjonalny nabór ludu z przydziałami na dotowaną watę, jechało się z delikwentem po towar, tam odpalało mu się jego działkę, po czym całe TIR-y pełne półdarmowego „złota” sunęły nad Wisłę do hurtowni budowlanych. Tak się robi biznes! Grosik do grosika, dopłaty do waty i zbierają się milioniki! Co się zaś tyczy rodaka, który odsprzedał swój przydział, w jego odczuciu on też skroił niezły biznes. No, może byznesik. Bo co on sobie będzie docieplął flat, nie swój zresztą? Przecież lepiej nadal być z grzybem za pan brat, nawet oficjalnie na niego ponarzekać przy gościach, ale za odpaloną działkę strzelić sobie kilka extra browarów. Albo komórkę z lepszym wyświetlaczem. Okazuje się więc, że oszczędzać można na wszystkim – nawet na własnym zdrowiu i komforcie. A co najlepsze, i byznesmen, i byznesikmen mają święte przekonanie, że obaj są sprytni, przedsiębiorczy i w ogóle gites majonez. Reasumując, podczas gdy Brytyjczyk zastanawia się jak najlepiej wydać, Polak główkuje jak najlepiej zaoszczędzić. Różnica niby delikatna, lecz w praktyce fundamentalna.

Poza tym, kombinowanie jest u nas na tyle powszechnie akceptowalne, iż umiejętność się zakręcenia znaczy tyle co „mieć jaja”. Udowodnione, że działa nawet w przypadku pań. Tak więc oto tym sposobem dorobiliśmy się Polaka-byznesmena oraz Polki z jajami. Śmieszne, lecz prawdziwe.

Polski kwef, bardzo twarzowy

Od dnia kiedy Cysio z Agatką wprowadzili się do nowego flatu, zza sąsiednich drzwi dosięga ich ostry zapach falafeli i humusu. Raz Cysio zajrzał przez płot – po kuchni krzątała się tęga Arabka. Pamięta, że miała śniadą twarz, lecz wychodząc na miasto zawsze zakładała czarną zasłonę. Cysio się z tego natrząsał, Agatka z tego kpiła. Jeśli chodzi o mnie, wyznaję zasadę, że kluczem do świadomego, a więc i szczęśliwego życia jest nie tyle znajomość innych, co przede wszystkim samego siebie. Cóż więc taka Agatka i taki Cysio wiedzą o zakwefionych arabskich kobietach, a co o samych sobie? Ano to wiedzą, że kobieta muzułmańska jest przez swego mężczyznę pomiatana i generalnie niekochana, za to Polka jest przez Polaka hołubiona i wystawiana na piedestał. Że muzułmance w kwefie nie wolno wyjść na miasto bez asysty mężczyzny, za to Polka może iść sama dokąd tylko ją (niezasłonięte) oczy poniosą. Wiedzą też, że kobieta w kwefie nie rozmawia z nieznanymi i że generalnie jest ubezwłasnowolniona – za to Polka rozmawia z kim chce, i w ogóle jest samodzielna, wyzwolona oraz wolna. Czyżby? Oto rano kolejnego dnia. Cysio podwozi Agatkę do roboty. Tam nasza Agatka obrabia kolejne domy, z klientami rozmawia na migi, nieznanym sobie numerów nie odbiera, bo i tak nic nie zrozumie, a po zakończonym dniu pracy Cysio odbiera ją i powrót prosto do domu. Dopiero tam Agatka może wykonać samodzielny wypad do polskiego sklepu. Wraca, obiadokolacja, polska fryzjerka, polski grill lub pogaduchy z polskimi koleżankami, amerykański film (z polskim lektorem) i oto koniec emigracyjnego dnia. Czy można inaczej? Według Agatki nie można, bo przecież Agatka nie pójdzie sama do pracy, bo „nie trafi” Agatka nie pójdzie też sama do niepolskiego sklepu czy fryzjera, bo się „nie dogada”. Spacer? Nie, bo nie zna miasta, bo jak się zgubi, to kogo i jak zapyta o drogę? Codzienność naszej emigracji przyzwyczała już nas do krajobrazu z polskim sklepem, polską agencją czy polską fryzjerką. Są nawet „polskie kurtyzany” – jakby dla zleceniodawcy miało to kluczowe znaczenie. Wszystko wokół nas jest polskie i dla niektórych z nas polskie być musi. Niby pięknie, gdyż dzięki otaczającej nas swojskości nie czujemy się tak wyobcowani. Lecz czy ta sytuacja nie ma drugiego dna? Dni, miesiące i lata mijają, a my nie staramy się nauczyć języka naszych gospodarzy choćby w stopniu bezwzględnie koniecznym, by nie

wyjść przed samymi sobą na nedorajdy. Odkładamy, odsuwamy od siebie, a nawet opieramy się nauce i poznaniu języka, łudząc się, oszukując samych siebie, że „jeszcze tylko ten rok i na pewno zjeżdżam do kraju”. Sam więc powiedz, Drogi Czytelniku, czy trzeba nosić na twarzy cokolwiek, by być ubezwłasnowolnionym? A co najgorsze, niepostrzeżenie tkamy sobie niewidzialny mur – materiału starczy akurat na niewidzialny kwef, a ten jest tak samo realny.

Pisarze do piór, robotnicy do fabryk, Matki-Polki do garów

O tym, że kobiety w Polsce mają zarąbiście, każdy wie. Hołubienie i masowe wystawianie Polek na piedestał przez szarmanckich Polaków to kanon naszego Dobrego Wychowania, jeśli nie część naszej Tradycji. Całowanie w rączkę, przepuszczanie przez drzwi jako pierwsze, dźwiganie za nie bagaży – żeby przytoczyć tylko kilka z brzegu. Albo weźmy choćby taki Dzień Matki: co - dla porównania - przeciętny angielski synalek zrobi w taki dzień dla swojej Rodzicielki? Ano zabierze ją do jakiejś restauracji (a może nawet pubu?) i nafaszeruje ichniejszym synonimem uczyty podniebiennej (fish&chips z octem), po czym wypisze i z wielką pompą wręczy okolicznościową (ponoć “special”) kartkę. Potem już tylko odwieźć ukontentowaną mamuszkę do jej mieszkania w bloku dla starszych osób i po krzyku. Mother's Day English Way?

NO WAY!

Nic więc dziwnego, że przeciętnej polskiej żonie-matce-kochance można zazdrościć, no bo tak: Gdy Matka-Polka ma swoje święto, nikt nie oddaje jej na pastwę przypadkowego kucharza – wszyscy w gościnę przychodzą do niej, żeby kochana mamusia nie musiała się nigdzie włóczyć tylko spokojnie skupiła się na przyjemnościach dnia. A dzień jak to dzień: po powrocie z roboty trzeba tylko lekko ogarnąć chałupę (wczoraj nie dało rady, bo córka "podrzuciła" wnuka), odgruzować zlew po mężowskim śniadaniu (biedak ma alergię na wszystkie płyny), a potem już tylko skleić szybkie pierogi (ulubione najstarszego synka; zamówił je już tydzień wcześniej), zakręcić ciasto i farsz na krokiety (to z kolei przysmak mężuła) oraz machnąć tort (z prawdziwym kremem – nie żadną masą!). Toż kobieta pracująca żadnej pracy się nie boi... Podczas gdy cała rodzinka będzie przy stole piła jej zdrowie, trzygłowa i sześcioręka żono-matko-kochanka wykona osiem rund kaw i herbat. Rozerwie również prezent, ale w środku nie będzie żadnej głupiej kartki, o nie! – patrzajcie, toż to najnowszy model miksera do ciasta (żeby równo za rok wykręcił JESZCZE lepsze smakołyki)! Dziękuję, kochani, dziękuję! Podekscytowana podarkiem, podrepce po

kolejną flaszkę, gdy zaś impreza zacznie dogorywać, ponownie zakrzątnie się przy garach – niech wie, że to JEJ święto! Dopiero w łóżku, trzygłowy, stywany wrak poczuje wszystkie kości, co w wersji dla męża zabrzmiałoby “Kochanie, nie dzisiaj”. KO-CHA-NA MA-MA NIECH ŻY-JE!

My name is Guma, Roman Guma

Dzień dobry, cześć i czołem – pytacie skąd się wzięłem? My name is wesóły Romek, mam na przedmieściu Łomży domek, a w domku światło, wodę i gaz odłączyli miesiąc temu, bom się znów spóźnił z kapustom dla starej. No i wyszedł bigos, no to odłączyli – no ale ja się przecia nie rozdwoje, no nie? tara mówi, że ja się tu opier-ten tego, że jam tu w Londku-Zdrój jak na jakichś wywczasach, ale sami wiecie jak tu jest, no nie? U Kazika np., to ja robie za dwóch, ale na wykarmienie starej i czterech darmozjadów trzeba trochę tego szmalcu, no nie? No więc łapiem się ci ja różniastych biznesików, rozumiecie: sprowadzi się to i owo z Kraju, takie np. papieroski to temu, to owemu się podrzuci (przy okazji, może Malborasy? Bedom po cenie nie do zabicia). Albo kielbaskie się przewiezie komu potrzeba – świeżutkom, nie żeby ten tego; no i jakoś tak się łąta, rozumiecie, te dziurska w budżecie – no nie tak jest? Ale jak mnie czasem chandra najdzie, tak z likendu, to z kumplami z roomu się puszcza na miasto, rozumiecie. Wtedy w trójkie – to jest ja, Mietek Haliniok i Jędrzek Kaplica – idziem cuzamen na balety do “Imperium”. Tam jest git, bo albo w polski dancing się utrafi, albo w jakim dyskotekie i klawo jest. No bo człek zasuwa świątek-piątek, to go czasem ciągnie do rozerwania się, no nie tak jest? A ja tam bywalec; takie wygibasy odstawiam, że wszystkie kelnerki inaczej na mnie jak “Guma” to nie wołajom. No chyba że “Król Parkietu”. A do tego towarzyszo murowane – np. taki Jędrzek: poznał ci chłop tam Sabinkę. A Sabinka dama pełna klasa, nie powiem, pełna klasa! Do tego nieszczęśliwa, bidulka, bo za ochlaptusa wyszła, co to ani nie zarobi, ani nic, tylko leży zalany w trupa gdzieś pod Biłgorajem. A co do mnie, to jam od Jędrusia nie gorszy, no bo tak: wpadł ja raz do lokalu z ciśnieniem na balety i ledwo żem tylko wąsala zakręcił i kamizelkie na haku zawiesił, a nowa pięknotka usadzona przy barze luka ci w mojom strone. A samiuśka jak palec! No to podszedł ci ja do laluni i wyjechał w ten deseń: “Hey, maj nejm iz Gooma. Roman Gooma. Masz kieckie w deche – zatańczymy?” I mówie Wam: żadna się nie oprze na taki bajer, no żadna! No i my z Jadzią śmichy-chichy, a potem to już Jadźka tańczyła tylko ze mną. A jeszcze potem, gdy my już mieli lekkom dzidę, zgarnął ci ja Mietka z Jędrkiem i zamówilimy takse do nas do flatu. Tam Krysek i paczka rozbijali akurat flaszeczkie, no to my się przyłączyli z drugom i dzamprezka

była w deche. A tak koło trzeciej, gdy goście zaczęli dogorywać po kątach, moja Jadźka przebakła coś o wracaniu. No to wtedy ja poprosił kumplów z mojego rooma na strone i my sie w mig dogadali tak żeby i wilk, rozumiecie, był syty, i owca cała... No więc w ten likend też wale do "Imperium", jakby co... Bo ja tam za Króla Parkietu robie, no bo ja jestem taki wesoły Romek, mam na przedmieściu Łomży domek, a w domku światło, woda, gaz... Zaśpiewać jeszcze raz?

Kupą, Mości Emigranci!

Tego dnia, Cysio wstał zboląły, a Agatka niewyspana. Cysia bolało serce, bo Agatka powiedziała mu, że z brudasami się nie kocha - ale jak on miał się wykapać, skoro poprzedniego wieczora łazienkę najpierw okupowała tkwiąca godzinami przed lustrem Baśka, a w kolejce przed nimi była jeszcze Aśka, Kaśka, Olka i Elka z Tomkiem. yło już więc bardzo późno zanim przyszła ich kolej, więc Cysio się zniecierpliwił i poszedł spać brudny, ale spać nie mógł, bo najpierw u Kaśki na cały regulator leciały Młode Tłoki, a potem do Baśki przyszedł gość na noc i przez ścianę było słycać wszystko. A nad ranem, z nocki wrócił Romek - nowy lokator po Zygumencie - i jak zwykle trzasnął drzwiami. I właśnie dlatego, Cysio był zboląły, a Agatka niewyspana.

Gdy Cysio zszedł do toalety, nie było w niej papieru, chociaż kupił wczoraj całą rolkę. Podczas gdy Cysio szukał chusteczek, Agatka czekała na swoją kolej do łazienki, a gdy Baśka ją wreszcie zwolniła, Agatka szukała swojej pasty do zębów. Z tego wszystkiego, gdy oboje wpadli spóźnieni do kuchni montować śniadanie, ostatni czysty talerz i widelec były w posiadaniu Kaśki, a w ostatnim czystym garze były Tomkowe ryby. Gdy Cysio i Agatka wybiegali z chaty, Aśka nadal klęła na Baškę za obstawioną żelami i szamponami wannę, Baśka klęła na Aškę za brudne gary w zlewie i kudły w wannie, a Elka klęła na Olkę za niekupiony papier toaletowy oraz Romka za ślady buciurów na świeżo zmytej podłodze. Koniec końców, Agatka znów się spóźniła na pierwsze sprzątanie i przez resztę dnia z wywalonym jęzorem nadrabiała stracony czas, zaś Cysio swój limit spóźnień wyczerpał już dawno, więc żeby uchronić się przed groźnym spojrzeniem szefa, nie zjadł śniadania w domu tylko wziął do roboty puszkę. W robocie Zygmunt znów rozdrażnił Cysia, bo opowiadał jaki to on ma teraz spokój i komfort na świeżo wynajętym studio flacie, więc Cysio musiał mu wygarnąć przy wszystkich ile tygodniowo on i Agatka oszczędzają. Po skończonym dniu pracy, Agatka wróciła na chatę z pełnymi siatami zakupów, a Cysio z pełnym pęcherzem. Agatka upchała zakupy na półkę swoją oraz Aśki, a Cysio śpiesznym krokiem udał się do

jedynej na flacie toalety - pech chciał, że tam już od pół godziny kwitł Tomek i swoim zwyczajem robił prasówkę. Podczas gdy Cysio klął na Tomka, a Elka kazała Romkowi pokazać podeszwy buciorów, Agatka próbowała dopchać się do łazienki, ale tam była Baśka i klęła na Aśkę za kudły w zlewie. Gdy Cysio wszedł do kuchni na obiad, zastał tam Aśkę, Olkę, Elkę oraz wielki ziąb. Aśka klęła na Agatkę za zakupy na jej półce, Olka wietrzyła kuchnię i klęła Tomka za smród po smażonej rybie, a Elka robiła pranie i klęła na Olkę za wielki ziąb. Wieczorem wróciła Kaśka, potknęła się o buty Aśki, stłukła kolano o rower Cysia aż wyrzuciła pranie Elki, więc w złym humorze puściła na cały regulator Młode Tłoki. A potem Baśka znów zajęła łazienkę, Aśka zostawiła kudły w wannie, Agatka szukała swojej pasty, Olka zużyła resztę papieru, a Romek nad ranem trzasnął drzwiami. I mało co, wszyscy pozabijaliby się na śmierć, gdyby nagle ktoś nie wspomniał Zygmunta. Wnet wszyscy wpadli w morowy nastrój, jęli go wyśmiewać i wyliczać jakiej to fortuny oni tygodniowo nie oszczędzają.

Jestem z Polski – to widać, słyszać i czuć

Zaczęło się od tego, że jadąc pewnego dnia busem linii nr 266 już miałem wybierać numer siostry, gdy w siedzącej naprzeciwko mnie kobiecie rozpoznałem “naszą”. *Nasza* nie jechała sama. Nawet uroczo wyglądali razem: oto *Nie nasz* – w siódmym niebie, trzyma ją za rękę. *Nasza* – w siódmym miesiącu, trzyma się za brzuch. Parka akurat zaczynała lekcję Mowy Ojców: ‘*Skręca w lewo*’ – wyrecytowała *Nasza*. *Nie nasz* na to wyszczerzył zębiska jak z reklamy gabinetu stomatologicznego i wyrecytował – ‘*Skryn-tza wle-wi*’, po czym przytulił swoją nauczycielkę. I w tym momencie do busa wszedł *Nasz*; z daleka rozpoznałem jego nieźle niosącą się, nienaganną polszczyznę, soczyście przeplatana łaciną, cytując: ‘*No to, ka, co mam zrobić, do ha, z tym ka rusztowaniem? W de je sobie, do ha, wsadzę, ka??*’ Na drugim przystanku wchodzi więcej *Nasz*ych; tym razem w towarzystwie Italiano. Że Polacy na uchodźstwie masowo posiadają ciąg do dydaktyki, przekonuję się już po chwili, cytując: – ‘*Italiano, powiedz: «O ja pie». No, powiedz!*’ Patrę po mojej parce – ta rozgląda się głupio wokół; odtąd lekcja Mowy Ojców jest prowadzona półtonem. Ja ze swej strony wstrzymuję się z telefonem do siostry. Na trzecim, do coraz bardziej radosnego pięterka, dołącza dwóch panów z aktówkami wypchanymi po brzegi narzędziami. Panowie – zgodnie z najnowszymi trendami mody – odziani są od stóp do głów w upstrzone radosnymi ciapkami dzinsowe kombinezony. Aż ma się wrażenie, że gacie też są dzins. No i piwka, oczywista – piwka też są. Pierwszy właśnie kończy połączenie, po czym szturcha Drugiego – ‘*Widziałeś*

go!? Niby taki profesjonalniejszy, rozumisz, ale z butów tu mu słoma, rozumisz, wylazi!’

– ‘Ty mi tu, ka, nie pie, do ha, tylko dawaj Zbycha, ka, bo te ha w czapkach nie będą się pie, ka, tylko wystawią tiketa jak ha, do ka!’ Gdzieś koło trzeciego ‘ka’, dłoń *Nie nasza* ląduje na żywej wypukłości *Naszej*; ta uśmiecha się niby wdzięcznie, ale jakoś tak dziwnie. Ojej – czyżby to nie jego dziecko??

– ‘Zbychu? Zbychu, ka, co teraz z tym, ka, rusztowaniem, do ha, będzie, ka? Ja, ka, muszę spie na Acton, a wóz na zakazie, do ha!’

– ‘Italiano, powiedz: «Ale du». No, powiedz!’

W tym momencie *Nasza* – jakby nigdy nic – odzywa się do *Nie naszego*, ale jak!? Po ichniemu! Poza tym, lekcja polskiego idzie w zapomnienie. Ja zamieram – a może ona go w ogóle nie kocha...?

– ‘Sorry...’ – z siedzenia za mną nagle zagaduje mnie kolega Zbycha. Wstrzymuje jednak mowę, obrzuca przenikliwym wzrokiem i dokańcza: *‘Polisz?’*. Już miałem odpowiedzieć *‘Dziękuję, nie polę’*, jednak wybrałem *‘What? Sorry, not Polish.’* I już jedno wiem na pewno: to i jego dziecko, i ona też go kocha. Co zaś do mnie, to nie będę dzwonił do siostry. Nie będę, póki jadę 266...

Panowie, tylko poważnie: kto ma najwięcej witaminy?

Zaczął się od tego, że po grubszej kłótni z Martą (oczywiście znów o te same „ważne” sprawy – tym razem bodajże poszło o niedosolone „ruskie”) postanowiłem zerwać ze swymi korzeniami i zostać kosmopolitą pełną gębą. Czy ja mam w nieskończoność tkwić w tym aż do bólu przewidywalnym polskim getcie – denerwowałem się – gdy na zewnątrz tyle nieprzewidywalnych nowości, tyle egzotyczności?

Przecież do odważnych świat należy! Tak jak sobie postanowiłem, tak też zrobiłem. Najpierw, moje zainteresowanie skupiło się na poznanej w klubie salsy ognistej Brasilianie. Już miałem iść z nią w tany, jednak okazało się, że u tej tętniącej życiem seniority odpadam w przedbiegach. Dlaczego? A no dlatego, że taniec nie jest moim życiem... Tak, tak – podczas gdy u nas w wieku wczesnoszkolnym uczą rysować proste figury geometryczne, ewentualnie wykonywać ręką znak krzyża, tam w tym samym czasie uczą wykonywać (i to wszystkimi kończynami) takie „znaki” i „figury geometryczne”, że człowiek zastanawia się czy Bóg przypadkiem nie zrobił naszych kości z kości, a ich z gumy. Nie zrażony jednak niepowodzeniem, postanowiłem spróbować „czekolady”. Jednak i ta znajomość spaliła na panewce: nawet nieźle rozwijająca się relacja z pewną afrykańską nimfą już byłaby

zwieńczona gorącym zbliżeniem (w jej samochodzie), gdyby nie wybrany na owo zbliżenie równie gorący dzień. Jedno jest pewne: apetyt na czekoladowe amory opuścił mnie natychmiast gdy „na własnej skórze” (a szczególnie tej w nosie) poczułem co to naprawdę znaczy „się spocić”. Jednak na zasadzie „do trzech razy sztuka” wszedłem głębiej w znajomość z mistyczną Meksykanką, na co dzień obsługującą w cokolwiek mniej mistycznym Burger Kingu. Po okresie wstępnych awansów, moja Conchita wyjechała na miesiąc do rodzinnej wioski, gdzie zapadła (jak stwierdzili starsi tejże wioski) na „złe powietrze”. Cóż więc robić? Ano udać się do szamana, i to musowo. Szaman zaś obadał, po czym zalecił co? Położyć na chorą świnkę morską. Powtarzam, słownie: położyć na chorą świnkę morską. I świnka, a jakże, pomogła! To znaczy tak: dziewczyna wyzdrowiała – świnka zmarła. No to od razu odechciało mi się tego całego mistycyzmu; nie przekonała mnie nawet wizja niewyczerpanych zapasów pędzonej przez niedoszłych teściów tequili. Po tych dość egzotycznych doświadczeniach, postanowiłem spuścić nieco z tonu i ograniczyć swoje miłosne eksperymenty do terenu Europy. W efekcie, pewnego dnia, na pizzy, objawiła mi się pewna urodziwa Włoszka, ale... gdy objawiła mi się również jej „opiekuńczość” (oraz gdy wspomniałem na znaną maksymę „niedaleko jabłko od jabłoni”), w mig poczułem nieprzeparłą potrzebę wyrwania się, póki czas, z „opiekuńczych” szponów przyszłego włoskiego tandemu. Mama mia! Lekko zdesperowany (oraz coraz częściej wspominający Martusiowe pierogi) dałem ostatnią szansę już całkiem swojskiej Angielce. Ta panna z dobrego domu wydawała się być nader romantyczna, a że do tego uwielbiała film, toteż postanowiłem upiec dwie pieczenie na jednym ogniu, puszczać mojej damie ponoć najbardziej romantyczną scenę w polskiej kinematografii, czyli jak Strasburger – cały w śnieżnobiałym garniturze – wchodzi w bajoro, by nazrywać dla swojej Basieńki nenufarów. Niestety, moja niby-romantyczka okazała się raczej fanatyczną obrończynią Środowiska Naturalnego, bo oto zamiast ochać i achąć na widok szarmanckości polskiego amanta, ta wydarła się wniebogłosy, cytując: „Vandal! Vandal!”. No i koniec filmu. Dlatego powiadam: Panowie – cudze chwalicie, swego nie znacie! I na tym morale kończę, bo – niczym syn marnotrawny – pędzę błagać Martę o przebaczenie. Oraz pierogi. Podejrzewam jednak, że tym razem nieźle mi dosoli.